

## **Marta Kwaśnicka: Pożegnanie Benedykta. Urlop w Rzymie (1)**

Miasto nad Tybrem to dowód na żywotność tej kultury, która odradza się ciągle z własnych popiołów



**Miasto nad Tybrem to dowód na żywotność tej kultury, która odradza się ciągle z własnych popiołów**

Zmęczenie, bladość rzeczy. Nie żebym była szczególnie wyczerpana, ale tak się jakoś złożyło, że bez urlopu byliśmy już 18 miesięcy. Mieliliśmy sporo rzeczy na głowie, jak nie jedną, to drugą, dzień w dzień to samo – i tak minął cały rok, a potem jeszcze kilka miesięcy. Obowiązki stawały się coraz cięższe i, chociaż obiektywnie przedstawiały ciągle ten sam poziom trudności, to zajmowały mi coraz więcej czasu. Oczy zamykały się same, rano nie chciało się wstawać z łóżka. Każde nowe zadanie stawało się stopniowo brzemieniem nie do zniesienia. W końcu

pojawiła się szansa na wyjazd – w lutym. Zbliżała się przerwa międzysemestralna, do tego nadarzał się dogodny moment w nawale innych zajęć, pozwalający na krótki wypad gdziekolwiek. Trzeba było szybko podejmować decyzję – więc stanęło na Rzymie.

Zupełnie nie wiem, jak to się stało, że wyjazdy do tego hałaśliwego i brzydkiego miasta – bo przecież nie wystarczy mieć skarbów, żeby być pięknym, trzeba jeszcze o nie dbać, a rzymianie tego nie robią – stało się naszą pasją i wielką radością. Może dlatego, że po raz pierwszy spędziliśmy tam aż trzy tygodnie jeszcze jako studenci. Przygarnęły nas wówczas dobre siostry z przedmieścia, gotowały dla nas włoskie potrawy, ich makaron był zawsze wymoczony w oliwie z czosnkiem, muśnięty pomidorami, pachniał intensywnie, a one, zwłaszcza Battista-staruszka, czekały na nas do wieczora jak zastęp troskliwych matek. My zaś całymi dniami biegaliśmy po Forum Romanum, bo można tam było wtedy wejść za darmo, przemierzaliśmy przestrzeń Circus Maximus, wspinaliśmy się na Awentyn do pomarańczy świętego Dominika, rysowaliśmy niezliczone łuki triumfalne (moim ulubionym stał się szybko zapomniany łuk Galiena, który wzniesiono na Eskwilinie; jest wciśnięty pomiędzy dwie kamienice i dosłownie się wali), albo – w ostateczności – siedzieliśmy w bibliotekach, oficjalnie bowiem celem naszego wyjazdu była kwerenda biblioteczna. Ja kończyłam dzień na Gregorianum, a T. – w Papieskim Instytucie Wschodnim. Każdego dnia przychodziliśmy tam coraz później; T. odprowadzał mnie na Piazza della Pilotta z któregośkolwiek miejsca, w jakim w danym dniu byliśmy, a potem sam szedł piechotą w okolice Santa Maria Maggiore, gdzie mieści się Instytut, mijając Angelicum i kilka antycznych ruin. Po paru godzinach wracał i jechaliśmy na sutą kolację do sióstr.

Dobre zakonnice, u których mieszkaliśmy, uwielbiały „Tommaso”, bo, nie wiadomo czemu, przypominał im Karola Wojtyłę za młodu. Były to

już czasy pontyfikatu Benedykta XVI, ale było jasne, że będzie stanowił kodę, spokojne rozwinięcie długiego, charyzmatycznego panowania papieża-Polaka, zamknięcie pewnych wątków, rozwianie wątpliwości. Wszystko, co chociaż trochę przypominało Jana Pawła II, w małym domu klasztorowym pod Rzymem nadal było otaczane miłością i czcią. W tym „Tommaso”. Dwie papieskie postaci, Jan Paweł II i Benedykt XVI, występowały zresztą wówczas obok siebie, jak awers i rewers jednej monety, jak twarze Janusa.

Potem wracaliśmy do Rzymu wiele razy, zwykle w celach naukowych, zawsze byliśmy poirytowani hałaśliwością rzymian, wszechobecnością samochodów i brudem, latem dodatkowo mierzł smród śmieci rozkładających się w upale – i nieodmiennie chłoniliśmy to miasto do upadłego. Rzym to esencja kultury Zachodu. Zawsze miałam się bardziej za dziedziczkę Rzymian niż Greków. Geny greckie są w genach rzymskich, to jasne, ale przecież Grecję przyswoiliśmy sobie oswojoną i uspokojoną, wypraną ze swoich dziwactw przez łaciński racjonalizm i rzymskie tradycje prawne. Ale miasto nad Tybrem to coś znacznie więcej, to dowód na żywotność tej kultury, która odradza się ciągle z własnych popiołów, żyje nieprzerwanie, żywiąc się wielkimi talentami w czasach świetności, a własnymi odpadkami w czasach posuchy. Tutaj maksymy cesarskie przechodziły naturalną ewolucję w kierunku papieskich inskrypcji, greckie porządki architektoniczne wyglądały podobnie w swoim wydaniu z przełomu er i z XVI wieku. Wątki starorzzymskich cegieł wyłaniały się spod o wiele nowszych tynków, kolumnady Hadriana sterczały ze współczesnych budynków użyteczności publicznej. Świątynia Agryppy była teraz kościołem, w którym pochowano Rafaela. Kiedy się potykałam, mogłam zgadywać, jak stare było to, o co niemal zламаłam sobie nogę. Kiedy wchodziłam do jednej z wczesnochrześcijańskich bazylik, chociażby św. Praksedy czy Jerzego na Velabrum, czułam nieprzerwany łańcuch modlitw sięgający do czasów apostoelskich. W tym miejscu klękali przecież ci,

których wiara urodziła się ze słyszenia samych Apostołów, potem mijają pokolenia, w tych samych okolicach obok łuku Janusa czy Marii Maggiore opowiadano sobie ciągle tę samą nowinę, którą słyszymy do dzisiaj. Modlono się w czasach prześladowań i w czasach triumfów Kościoła, modlono się teraz, kiedy chrześcijaństwo stawało się ekscentryczną formą konserwatyzmu.

Zdzieraliśmy zatem buty na rzymskich brukach, liczyliśmy kolumny, spacerowaliśmy po via Appia, odwiedzaliśmy bazyliki papieskie, jeździliśmy do urokliwej św. Agnieszki za Murami, bo obok niej znajduje się mauzoleum Konstancji, córki Konstantyna, pokryte mozaikami, których prawie nikt nie ogląda. Nasz Rzym związał się na dobre z papieżem ciągłości, z Benedyktem, bo wszystkie nasze wizyty przypadły na czas jego pontyfikatu. Pod jego oknem w Pałacu Apostolskim stawialiśmy się niezliczoną ilość razy, a on pojawiał się w nim niemal niezmienny. Kiedy obejmował tron św. Piotra, już był staruszką, nie mógł zatem – a przynajmniej tak mi się podświadomie wydawało – postarzeć się jeszcze bardziej.

Teraz przyjechaliśmy znowu, pierwszy raz w lutym i pierwszy raz tylko po to, aby po prostu być w Rzymie. Nasze wędrówki po tym mieście dawno już stały się zupełnie bezcelowe, niemal wszystko już widzieliśmy, nogi niosły nas same, w dół i w górę, z Wiminału na Kwirynał, Kapitol czy Awentyn, z zaskoczeniem odkrywaliśmy, że w dane miejsce można trafić inaczej niż poprzednio. Rzym był jednak tym razem zaledwie cieniem znanego nam miasta, które znajduje się tutaj od marca do jesieni, o rdzawych fasadach i grafitowym bruku. Teraz był szaro-beżowy, niebo wygrzewało się jeszcze dość nieśmiało w promieniach bladego słońca, kwitły pierwsze podbiały, a platany nad Tybrem nie miały liści.

O rezygnacji papieża dowiedzieliśmy się w poniedziałek z polskich

mediów, do których mieliśmy dostęp, bo stolica Włoch żyła swoim własnym życiem. Na ulicach widać było ostatekowych przebierańców, turyści szaleli na wyprzedażach, a zwykli Włosi po prostu zajmowali się pracą. Kiedy jednak dotarła do mnie decyzja Benedykta, przypominałam sobie, że, kiedy poprzedniego dnia przyszedłam na Plac Św. Piotra na „Anioł Pański”, Ojciec Święty rzeczywiście wydawał się wyjątkowo zmęczony; miał zapadnięte policzki, jakby przebył długą i poważną chorobę, mówił niewyraźnie, a wymawianie spółgłosek sprawiało mu kłopot. – Strasznie się postarzał. Być może wkrótce czeka nas konklawe – powiedziałam do T., a on przytaknął. Teraz okazało się, że, kiedy Papież modlił się z nami w niedzielę, historyczna decyzja już zapadła.

CDN.

Marta Kwaśnicka

Więcej tekstów autorki na jej blogu